

Wielki QUIZ o Janie Pawle II

ETAP 1 - KAROL WOJTYŁA - DZIECIŃSTWO

Źródło: https://opoka.org.pl/biblioteka/T/TS/swieci/wam_2014_sjp2_01.html

Wadowice to niewielka miejscowość położona na południu Polski, nad rzeką Skawą, w odległości około 30 km od Krakowa. Leży w paśmie Beskidu Małego, więc każdy, kto się w niej urodzi, jest już góraliem — góraliem z Beskidu Małego. Patrząc na panoramę okolicy, widzimy łagodne szczyty górskie pokryte lasami, a wśród złotych pól przydrożne kapliczki i krzyże.

Wadowice są starym trzynastowiecznym miastem. Mała i niepozorna miejscowość, niczym nie wyróżnia się spośród tysięcy innych miasteczek Polski. Przed wybuchem II wojny światowej nie posiadało jeszcze wodociągów i kanalizacji. Nawiedzały je pożary i epidemie, które w dawnych czasach dość często zabijały ludzi i niszczyły ich dobytek. W centrum miasteczka znajdował się, i istnieje do dzisiejszego dnia, niewielki prostokątny rynek, na którym znajduje się ratusz, szkoła podstawowa i prosty, szary kościół pw. Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny. Świątynia zwieńczona jest u góry cebulastą kopułą, a pośrodku wieży znajduje się zegar. W każdy czwartek rynek ożywał, bowiem zjeżdżali się tu okoliczni chłopcy, którzy handlowali przeróżnymi towarami. W Wadowicach mieściła się też siedziba Sądu Okręgowego, działały dwie fabryki opłatków i wafli, fabryka lekkich konstrukcji stalowych, tartak, dwie cegielnie oraz fabryka nawozów sztucznych.

Do znanych i zasłużonych wadowiczian należał Marcin Wadowita późniejszy profesor Akademii Krakowskiej, dziekan Wydziału Teologicznego, znany dobroczyńca ubogich i chorych oraz fundator szpitala.

Żywą działalność w mieście rozwijał Kościół katolicki, zwłaszcza zgromadzenia pallotynów i nazaretanek. Ważną rolę w życiu wadowiczian i mieszkańców okolicy odgrywała też parafia. Przez cały tydzień świątynia Maryi Panny wypełniała się wiernymi, którzy licznie przychodzili na msze święte i nabożeństwa. Tuż za miastem natomiast znajdował się klasztor Karmelitów „Na Górcie”. Jednym ze znanych wychowanków tego klasztoru jest święty ojciec Rafał Kalinowski. Na atmosferę wadowicką wpływał też fakt, iż niedaleko znajdowało się również słynne miejsce pielgrzymkowe — Kalwaria Zebrzydowska.

Wadowice tętniły na co dzień życiem kulturalnym i społecznym. Działały w nim liczne stowarzyszenia artystyczne, trzy biblioteki, kółko teatralne i organizacje sportowe.

W takiej właśnie górskiej miejscowości, 18 maja 1920 roku, w pobożnej rodzinie Karola i Emilii z Kaczorowskich Wojtyłów, przyszedł na świat ich drugi syn Karol. Pierwszym był Edmund, urodzony 14 lat wcześniej. Po nim urodziła się jeszcze córka Olga, lecz zmarła tuż po narodzinach.

20 czerwca rodzice zanieśli miesięcznego chłopczyka do kościoła, gdzie został ochrzczony, otrzymując imiona: Karol Józef. W podklejanej, pożółkłej już dziś Księdze Chrzta z 1920 roku, w IV tomie, na 149 stronie, pod 671 pozycją zapisano w języku łacińskim:

„Karol Józef Wojtyła, syn Karola i Emilii Kaczorowskiej, ur. 18 maja 1920 r.; ochrzczony 20 czerwca 1920 r. Rodzice chrzestni: Józef Kuczmierczyk i Maria Wiadrowska. Ochrzcił Franciszek Żak, kapelan wojskowy”.

W kaplicy chrzcielnej, znajdującej się w bocznej nawie kościoła, umieszczona była kopia obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Czy w momencie chrztu św. maleńki Karol widział twarz patrzącej na niego Matki Bożej? Nie wiemy. Z pewnością jednak Maryja patrzyła na niego, bo od tego przecież dnia Karol Wojtyła stał się Dzieckiem Bożym. Rodzice, spoglądając na swojego malutkiego synka, zastanawiali się, kim będzie jak dorośnie? Z rysów twarzy był uderzająco podobny do swojego ojca, który był zawodowym wojskowym. Czyżby więc miał iść w ślady swojego taty? Pani Emilia, wożąc go w wózku, często mówiła swoim znajomym: „Zobaczycie, mój Lolek będzie kiedyś wielkim człowiekiem”. Wołali na niego: Loluś albo Lolek, a małemu Karolkowi wcale to nie przeszkadzało.

Lolek wychowywany był w bardzo religijnej atmosferze — w jego rodzinnym domu czytano często Pismo Święte, wspólnie się modlono i przestrzegano postów. Poza tym rodzina Wojtyłów mieszkała bardzo blisko kościoła. Wystarczyło tylko skręcić za róg domu i już było się na uliczce biegnącej wzdłuż świątyni. Zajmowali oni dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze budynku przy ulicy Kościelnej 7, położonego tuż obok wadowickiej parafii. Skromna, piętrowa kamieniczka, do której wchodziło się przez wąską bramę i ciasne podwórze, należała do Żyda Chaima Bałamutha, który posiadał sklepik z rowerami i motocyklami. Mieszkanie Wojtyłów nie miało przedpokojów. Z zewnętrznego kruzganku wchodziło się wprost do kuchni. Zaraz przy drzwiach po lewej stronie, znajdował się piec, z przeciwnej zaś strony żeliwny, półokrągły zlew. W głębi kuchni stał stolik ze stołkami, kuchenny kredens oraz na drewnianym stołku miska do mycia.

Dla Karola ważnym elementem kuchni było też... okno. Wychodziło wprost na boczną ścianę kościoła, gdzie prawie naprzeciwko znajdował się duży, biały słoneczny zegar. Wrażenie na nim robił widniejący na zegarze napis: „Czas ucieka, wieczność czeka”. Mimo woli widział go codziennie, niemal przy każdym pobycie w kuchni, z której wchodziło się do mniejszego pokoju, gdzie stało łóżko Karola i szafka na książki. Kolejne drzwi prowadziły do większego pokoju — salonu.

Kuchenne okno miało też inną, jakże ważną zaletę — było doskonałym „punktem obserwacyjnym” wszystkich uroczystości kościelnych. Kiedy naokoło kościoła odbywały się uroczyste procesje, często do mieszkania państwa Wojtyłów przychodziła pani Pukłowa, kuzynka Karola, ze swoimi małymi dziećmi. Maluchy wraz z mamą obserwowały przez okno uroczystości, a potem już jako kilkuletnie dzieci uczestniczyły w nich czynnie. Podczas procesji niosły lilijki, a Lolek dzwonił dzwoneczkami.

Karol od czasu do czasu spoglądał na cień rzucany przez słońce, ale o wiele bardziej interesował go napis widniejący na zegarze: „Czas ucieka, wieczność czeka”. Mimo woli widział go codziennie, niemal przy każdym pobycie w kuchni...

Mały Lolek uczęszczał do ochronki, którą prowadziły siostry nazaretanki. Choć do dziś niewiele zachowało się wspomnień z tego okresu życia małego Karola, sam Ojciec Święty zapewniał, iż doskonale pamięta te beztrioskie chwile swego dzieciństwa:

„(...) wśród tych wspomnień choć tych pierwszych lat życia się zwykle nie za bardzo pamięta — wyraźnie mi się rysuje Nazaret wadowicki i siostry nazaretanki (...). Kiedy widziały nas, kilku chłopaków, wałęsających się po ulicach w środku miasta, zaczęły nas do siebie zapraszać, jak to się wtedy mówiło, do ochronki. Więc ja trafiłem wtedy w czasie wakacji do

tej ochronki nazaretańskiej (...) w takim wieku, kiedy się jeszcze mówi o człowieku «maluch» (...). Bardzo dobrze sobie zapamiętałem Nazaret, siostry i tę ochronkę. To jest jedno ze wspomnień, które najdłużej mi zostało w pamięci z pierwszych lat mojego życia, jeszcze przed szkołą”.

Jako metropolita krakowski, Karol Wojtyła odwiedził wadowicki Dom Opatrzności Bożej, gdzie spotkał się z siostrami nazaretankami, w tym także z siostrą, która była jego opiekunką w ochronce. Zapytał wtedy: „Czy jest między wami siostra, która się mną opiekowała? Pamiętam, jak dała mi cztery klapsy i postawiła w kącie!”. Na te słowa podeszła do niego staruszka, siostra Filotea Kosarz i ze skrucą powiedziała: „Przepraszam, Eminencjo, najmocniej przepraszam...”. Kardynał roześmiał się wtedy serdecznie i rzekł: „Ależ droga Siostro! Proszę mnie nie przepraszać. To ja chciałbym serdecznie podziękować Siostrze za te klapsy. O, jak mi się przydały. Wyklepała wtedy Siostra ze mnie wiele zła. Dzięki temu dużo spokojniejsze mam życie...”.

Któregoś dnia, z okazji imienin córki pani Pukłowej Danusi, czteroletni Karol poszedł z tatą w odwiedziny do kuzynostwa. Danusia, która była w wieku Lolka oraz jej dwaj bracia mieli w domu konia na biegunach. Gdy Lolek go zobaczył, nie chciał się w nic innego bawić, jak tylko w ujeżdżanie rumaka. Problem polegał na tym, że każdy z chłopców chciał go dosiąść w tej samej chwili. I tak zaczęła się bójka, jeden ciągnął konia za grzywę, drugi za ogon, a nikt nie chciał ustąpić. Kiedy w pokoju rozległy się głośne krzyki i płacz, do akcji wkroczyli dorośli. Z trudem rozdzielili wrzeszczących chłopców, a najmłodszego trzeba było nawet zamknąć w drugim pokoju, bo za nic nie chcieli się pogodzić. Imieninowa wizyta skończyła się nie najlepiej, a zapłakany Lolek wrócił z tatą do domu.

Jak każdy chłopiec w jego wieku, Karol bawił się z kolegami na podwórku, a najbardziej lubił grę w piłkę nożną. Był dobrym graczem i koledzy często wybierali go kapitanem drużyny. Miał nawet swój piłkarski pseudonim „Martyna” (od nazwiska znanego wówczas obrońcy jednej z lwowskich drużyn piłkarskich Pogoni Lwów — Henryka Martyny). Najczęściej jednak Lolek był bramkarzem, a wtedy cała drużyna zachwycała się jego zręcznością. Chłopcy wiedzieli, że jeśli Karol stoi na bramce, piłka ma niewielkie szanse, by do niej wpaść. W klasie Lolka było kilku Żydów i często podczas sportowych rozgrywek chłopcy dzielili się na drużyny: „katolicką” i „żydowską”. Przeciwnikiem Karola, czyli bramkarzem drugiej drużyny, był wtedy najczęściej Poldek Goldberger — potężnie zbudowany syn żydowskiego dentysty. Jednak żydowskich chłopców było znacznie mniej i w związku z tym nie zawsze udawało się zebrać ich tylu, by utworzyć z nich drużynę piłkarską. W takie dni Lolek równie skutecznie jak zawsze bronił... bramki żydowskiej!

Chłopcy najczęściej grali na zaimprovizowanych boiskach: na podwórkach kolegów lub przed kościołem. Nie było to jednak bezpieczne miejsce. Raz nawet piłka, niefortunnie kopnięta przez Lolka, uderzyła w okno budynku kościelnego, tłukąc szybę. Nic więc dziwnego, że gdy piłka odbijała się od murów kościoła, mali piłkarze byli przepędzani przez księdza proboszcza, karcącego ich za bezczeszczenie świątyni Bożej.

Podczas zabawy Karol obserwował zegar na wieży kościelnej. Pamiętał dokładnie godzinę, o której miał wrócić do domu. Choć czasem koledzy namawiali go, by został jeszcze chwilę, starał się nie złamać danego mamie słowa. Zawsze przerywał grę, żegnał się z kolegami i wracał punktualnie do domu. Wpadał w ramiona mamy i opowiadał o meczu oraz kolegach. Zimą, kiedy boisko przykrywał śnieg, ślizgał się na łyżwach po zamrzniętym korcie tenisowym lub grał z kolegami w hokeja. Co prawda, ich kije hokejowe były bardzo

prymitywne, ale i tak bawili się świetnie. W czasie jednego z takich meczów Karol doznał kontuzji — rozciął sobie łuk brwiowy.

Mama Lolka, pani Emilia, często zabierała młodszego syna do Krakowa, gdzie mieszkali jej trzy siostry i brat Karola — Edmund, który wówczas był studentem medycyny. Pokazywała Karolowi zabytki, przede wszystkim królewską katedrę na Wawelu i liczne kościoły. Chłopczyk oglądał piękne kamienice na Starym Mieście, zwiedzając ulice: Kanoniczą, Szewską, Grodzką, Floriańską, Sławkowską... Obserwował dzieci bawiące się na Plantach, podziwiał sprzedawane w Sukiennicach kolorowe cudeńka. We wtorki i piątki na Rynku odbywał się jarmark. Karol od razu widział różnicę między targiem krakowskim i wadowickim. W Wadowicach na jarmarku towary były „wymieszane”, w Krakowie zaś — „poukładane”: po jednej stronie Sukiennic można było kupić nabiał, a po drugiej warzywa i owoce. A kiedy w okienku wieży mariackiej ukazywał się trębacz, Lolek zadzierał głowę do góry i słuchał płynącego z wysoka hejnału. Bardzo podobał mu się Ratusz, a jeszcze bardziej żołnierz, maszerujący przed nim tam i z powrotem, jakby był nakręcony kluczykiem. Co godzinę zaś przy Ratuszu odbywała się zmiana warty, z ciekawością obserwowana nie tylko przez dzieci, ale i przez starszych.

Z tatą natomiast Karol jeździł do Kalwarii Zebrzydowskiej. Miejscowość ta, nazywana Polską Jerozolimą, jest małym miasteczkiem na południu Polski, położonym niedaleko od Wadowic. Usytuowana jest w dolinie między dwoma pasmami niskich, ale pięknych gór, na pograniczu Beskidu Makowskiego i Pogórza Wielickiego, u podnóża góry Żarek, na wysokości 335—400 m n.p.m. To miejsce jest szczególnie bowiem ma w sobie coś takiego, że jak ktoś już raz tam przyjedzie, to pragnie wracać. Niesamowity jest urok tego miejsca. Piękno otaczającej przyrody pomaga wyrażać wewnętrzne przeżycia. Kalwaria to przede wszystkim dziesiątki różnego rodzaju budowli wtopionych w piękny krajobraz Beskidów: kościółków, kaplic, figur poświęconych wydarzeniom z życia Pana Jezusa i Jego Matki. Wraz z bazyliką Matki Bożej Anielskiej i klasztorem Bernardynów tworzą one jedno z najpiękniejszych i najbardziej oryginalnych miejsc pielgrzymkowych w Polsce. Badając historię Kalwarii Zebrzydowskiej, dowiemy się, że w XVII wieku Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, wróciwszy z Ziemi Świętej, dostrzegł w tym miejscu odpowiednie warunki do stworzenia Polskiej Jerozolimy. Postanowił więc wybudować w 1600 roku kaplicę Świętego Krzyża „dla celów własnej pobożności”. Góra Żarek, na której wznosi się Kalwaria, przypominała wzgórze Golgoty, rzeczka Skawinka jerozolimski potok Cedron, góra lanckorońska Górę Oliwną. W ten sposób doszło do realizacji wielkiego pomysłu budowy Drózek Męki Pańskiej od Wieczernika do Grobu Chrystusa.

Pierwsza w Polsce Kalwaria szybko stała się popularna. Z roku na rok przybywały i do dziś przybywają tu rzesze pielgrzymów. Ojciec Święty Jan Paweł II także jako pielgrzym często odwiedzał kalwaryjskie Dróżki Męki Pańskiej.

W czasie swojego pobytu w Ojczyźnie w 1979 roku tak wspominał:<

„Kalwaria Zebrzydowska, sanktuarium Matki Bożej i dróżki (...). Nawiedzałem je wiele razy, począwszy od lat moich dziecinnych i młodzieńczych (...). Kalwaria ma to do siebie, że się można łatwo ukryć (...). Polecałem Panu Jezusowi przez Maryję sprawy szczególnie trudne i ważne (...). Wiedziałem, że coraz częściej muszę tu przychodzić, bo: po pierwsze, spraw takich było coraz więcej, a po drugie dziwna rzecz one się zwykle rozwiązywały po takim moim nawiedzeniu na drózkach”.

Lolek bardzo lubił wędrowki z tatą po kalwaryjskich drózkach. Zaciekawiony nie mógł doczekać się, aż dotrą do kolejnej kapliczki. I choć czasem bolały go nogi, nigdy nie skarżył się i nie narzekał. dzielnie maszerował, dorównując tacie kroku.

Kiedy Karol skończył sześć lat, rozpoczął naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Do szkoły miał blisko bowiem budynek szkolny znajdował się na bocznej ścianie Rynku. Szkoła, do której chodził, różniła się trochę od tych, do jakich dziś uczęszczają dzieci. Do jego szkoły chodzili sami chłopcy. Szkoła dla dziewczynek mieściła się na innej ulicy. Klasa pierwsza, do której został zapisany Karol, była liczna; było w niej ponad sześćdziesięciu chłopców. Niełatwo było być grzecznym w tak dużej grupie kolegów. Na Karola nauczyciele się jednak nie skarżyli. Był wzorowym, pilnym i zdolnym uczniem. Uczył się języka polskiego, matematyki, religii i śpiewu. Miał też lekcje rysunku i gimnastykę. Lubiał wszystkie przedmioty, choć szczególnie pasjonował go język polski. Każdą klasę kończył z wzorowym świadectwem.

Karol był zdolny, ale chętnie pomagał słabszym kolegom w nauce. Gościli oni w domu Karola, gdzie wspólnie przygotowywali się do zajęć na następny dzień. Lolek był solidny i systematyczny. Zawsze odrabiali wszystkie lekcje — ważne i mniej ważne, nie pomijając żadnego przedmiotu. Jeśli profesor wskazywał na jakieś dodatkowe informacje, zawsze starali się je wyszukać. Z historii zapoznawali się także z tematyką następnych zajęć, gdyż wykładowca trzymał się ściśle podręcznika i dzięki temu znali przebieg kolejnej lekcji.

Nigdy nie „ściągał”, raczej nie uznawał podpowiadania i odpisywania, ale był tolerancyjny, gdy któryś z kolegów zerkał w trakcie klasówki na jego kartkę. A gdy któryś z nich nie był przygotowany do lekcji i dostał złą ocenę na twarzy Lolka pojawiał się smutek i zakłopotanie. Zwykle wtedy takiemu uczniowi proponował swoją pomoc w poprawieniu dwójki. W klasie był bardzo lubiany, a koledzy cenili go za jego dobre serce i uczynność.

Gdy zaczynał się adwent, Karol chętnie uczestniczył w roratach. Choć ranki były mroźne i ciemne to zrywał się z ciepłego łóżka i pędził do kościoła. W świątyni, na wysokim stojaku paliła się gruba przystrojona białą kokardą świeca roratnia, a ludzie śpiewali pieśni adwentowe, które przypominały o tym, że zbliża się Boże Narodzenie. Karol czekał na nie z utęsknieniem. Przez cały adwent przygotowywał się do świąt. Długie wieczory spędzał na robieniu zabawek na choinkę. Malował wydmuszki z jajek, zamieniając je na głowy pajaców i krasnali, nawlekał na nitki kolorowe koraliki, lepił łańcuchy z kolorowego papieru i słomek, wycinał z bibuły gwiazdki, ptaszki. Te choinkowe ozdoby wykonane przez Lolka służyły nieraz przez kilka lat. Trzeba je było tylko odkurzyć, poprawić uszkodzone i przygniecione oraz skleić naderwane.

Oczywiście, najbardziej Lolek lubił Wigilię. Razem z bratem już od rana pomagał mamie w kuchni. Mielił mak, ubijał pianę, ucierał masę do ciasta, łuskał orzechy. Po południu natomiast pomagał tacie przy ubieraniu choinki. Gdy na niebie zajaśniała pierwsza gwiazda, zasiadali do wieczerzy. Były to jedne z niewielu chwil, kiedy wszyscy byli razem. Starszy brat Karola — Edmund, studiujący medycynę w Krakowie, przyjeżdżał do domu tylko na wakacje i podczas przerwy semestralnej na studiach. Dlatego każdy dzień spędzony razem z nim był dla Lolka szczególnie cenny. Podczas wieczerzy wigilijnej cała rodzina modliła się, potem łamali się opłatkiem i składali sobie życzenia. Choć wypowiedane były szeptem i Lolek nigdy nie słyszał, co życzą sobie nawzajem rodzice i brat, czuł, że musiały być bardzo serdeczne. Mama miała zawsze łzy na policzkach, a i on nieraz się wzruszył. To po mamie odziedziczył wrażliwość i serdeczność, a także optymizm i życzliwość. Uważnie słuchał, że ma być dobrym uczniem, a także grzecznym i dzielnym chłopcem. By zawsze pomagał

innym i nigdy nie zapomniał o Panu Bogu i Jego Matce. Na koniec zawsze całował mamę i tatę w rękę. Potem wspólnie śpiewali kolędy, aż do Pasterki...

Spokojne życie Karola niespodziewanie przerwało tragiczne wydarzenie, kiedy miał dziewięć lat, nagle zmarła jego mama. Wiedział, że często chorowała, ale nigdy nie przypuszczał, że tak szybko odejdzie do nieba. Miała zaledwie 45 lat. Zawsze była słabego zdrowia. Zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem synów. Dorabiała haftowaniem i szyciem na maszynie. Przed śmiercią cały czas leżała w zamkniętym pokoju, do którego Karol nie miał wstępu. Nie chciała, by widział, jak cierpi. Narzekała na serce i nogi, ale nikt, a tym bardziej Karol czy ktoś z jej najbliższych, nie przypuszczał, że choroba jest tak poważna. Emilia Wojtyłowa chorowała na zapalenie serca i nerek, na które nie było wtedy skutecznego lekarstwa. Po śmierci żony Karol Wojtyła poprosił jedną z nauczycielek Lolka, panią Zofię Bernhardtową, by powiedziała mu o śmierci matki. Sam był zbyt wstrząśnięty, by przekazać tę wiadomość synowi. Pogrzeb Emilii Wojtyłowej odbył się na wadowickim cmentarzu, a ceremonię poprowadził ówczesny proboszcz parafii ksiądz Leonard Prochownik. Po latach trumnę z ciałem mamy Lolka przeniesiono na cmentarz Rakowicki w Krakowie. Po pogrzebie ojciec z synami udali się do sanktuarium Matki Bożej Kalwaryjskiej, by modlić się w intencji zmarłej.

Karol bardzo przeżył śmierć mamy. Wkrótce miał przystąpić do I Komunii Świętej i było mu przykro, że nie będzie wraz z mamą uczestniczyć w tym ważnym dniu. Jeszcze długo po pogrzebie Karol przeżywał odejście mamy, często płakał w poduszkę albo zrywał się w nocy, wołając ją. Ojciec przytulał go i uspokajał, ale Lolek długo nie mógł pogodzić się z tym, że mama odeszła. Była przecież taka dobra. Wiele w życiu wycierpiała. Zwłaszcza wtedy, gdy zaraz po urodzeniu umarło jej pierwsze dziecko — siostrzyczka Lolka. Jego koledzy wspominają, że pytany o swoją mamę, zawsze odpowiadał: „Została wezwana przez Boga” albo „Widocznie Bóg tak chciał”. Po wielu latach, już jako student, napisał o niej wzruszający wiersz:

Nad Twoją białą mogiłą

kwitną białe życia kwiaty

o, ileż lat to już było

bez Ciebie przed iluż to laty?

Nad Twoją białą mogiłą,

od lat tylu już zamkniętą

jakby w górę coś wznosiło coś,

tak jak śmierć niepojęte.

Nad Twoją białą mogiłą,

o Matko, zgasłe Kochanie

za całą synowską miłość modlitwa:

Daj wieczne odpoczywanie.

Po śmierci matki Karol przebywał z tatą, natomiast Edmund z racji studiów mieszkał w Krakowie. Ojciec Karola, zawodowy wojskowy, uchodził za człowieka bardzo

sprawiedliwego, surowego i małomównego. Tymczasem pod maską szorstkości krył się szlachetny, dobry i ciepły człowiek.

Po wielu latach, w książce Dar i tajemnica Jan Paweł II tak wspominał swojego ojca:

„Mogłem na co dzień obserwować jego życie, które było życiem surowym. Z zawodu był wojskowym, a kiedy owdowiał, stało się ono jeszcze bardziej życiem ciągłej modlitwy. Nieraz zdarzało mi się budzić w nocy i wtedy zastawałem mego Ojca na kolanach, tak jak na kolanach widywałem go zawsze w kościele parafialnym. Nigdy nie mówiliśmy z sobą o powołaniu kapłańskim, ale ten przykład mego Ojca był jakimś pierwszym domowym seminarium”¹.

Ojciec Karola przeszedł w swoim życiu wiele ciężkich chwil. Gdy miał 21 lat został powołany do wojska austriackiego do armii cesarza Franciszka Józefa I. Kolejno służył w Wadowicach, Lwowie, Krakowie i ponownie w Wadowicach. Podczas I wojny światowej dostał się pod ostrzał artyleryjski Rosjan, z którego wyszedł obronną ręką. Za wyjątkową odwagę został odznaczony austriackim Żelaznym Krzyżem Zasługi z Wieńcem. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, wstąpił do nowo utworzonej armii polskiej i w randze porucznika służył w 12. Pułku Piechoty w Wadowicach. Do końca pozostał zawodowym żołnierzem. Karol Wojtyła senior był jednym z urzędników, którzy dbali o potrzeby armii: zajmował się poborem nowych rekrutów, prowadził księgowość, starał się o obuwie, mundury czy materiał na onuce. Mówiono o nim, że był człowiekiem uczciwym, poważnym, skromnym, dobrze ułożonym, godnym zaufania, a nade wszystko pracowitym i głęboko wierzącym.

Przyjaciół Papieża z lat studenckich, krakowski literat Juliusz Kydryński, tak wspomina jego ojca:

„Był to człowiek niezwykły. Zawsze uśmiechnięty, drobny i zupełnie siwy, lekko przygarbiony, sprawiał wrażenie starszego, niż był w istocie. Był człowiekiem o wielkiej kulturze i anielskiej dobroci i łagodności. Pisałem już kiedyś, że gdy wyobrażam sobie czasem człowieka świętego, lecz równocześnie głęboko i mądrze związanego z życiem, to ojciec Karola mógłby być jego wzorem. Wzruszająca była miłość i pełna wzajemnego zrozumienia przyjaźń tych dwóch ludzi: ojca i syna. Wojtyła senior emeryt intendenty wojskowej zajmował się gospodarstwem domowym i najrozmaitszymi pracami. Niedostatek u nich panował tak wielki, że zdarzało się, iż ojciec z braku pieniędzy na szewca sam naprawiał buty synowi”².

Być może w sercu ojca tliło się pragnienie, by i jego synowie poświęcili swe życie, służąc ojczyźnie, ale nigdy o tym z nimi nie rozmawiał, zostawiając im wybór własnej drogi.

Po śmierci mamy Lolka, „Pan Kapitan”, jak go powszechnie nazywano, otoczył syna jeszcze większym ojcowskim ciepłem, starając się zastąpić mu matkę. Prał, gotował, przygotowywał kolację, obcinał mu włosy, a ze swojego starego munduru uszył mu szkolny garnitur. Częściej niż zwykle zabierał go na wycieczki, rozpalając w chłopcu miłość do gór. Jeździli na pielgrzymki do Częstochowy i Kalwarii Zebrzydowskiej, godzinami spacerując po drózkach. Ta miłość do górskiej przyrody nigdy nie zgasła w sercu przyszłego Papieża. Już jako Ojciec Święty napisał o górach:

„Tutaj, z wyjątkową mocą, zdaje się przemawiać błękit nieba, zieleń lasów i pól, srebro jezior i rzek.

Tutaj śpiew ptaków brzmi szczególnie znajomo po polsku”.

Chcąc zapęłnić w sercu chłopca pustkę po śmierci mamy, ojciec organizował też wesołe zabawy. Grał „w nogę” razem z kolegami Karola w ich największym pokoju. Jednego z kolegów Lolka, Karola Poliwkę, nauczył pływać w Skawie. Umiał ciekawie opowiadać, zwłaszcza o dawnych dziejach Polski, a także o swoich wojennych przeżyciach.

Wierny przyjaciel Karola, Jurek Kluger, tak wspomina:

„Chodziłem do niego zwłaszcza w pierwsze lata gimnazjalne, wieczorem. Jego ojciec, starszy pan Wojtyła bardzo dużo czytał. Miał dar konferansjerki, on nam wiele rzeczy opowiadał i nawet tacy jak ja, którym chciało się tylko w karty grać, słuchaliśmy. Opowiadał nam historię Polski, przedstawiał komentarze do książek Henryka Sienkiewicza i Karola Maja. On to opowiadał w taki sposób, że potrafił dotrzeć do takich małych chłopców jak my. Do Wojtyłów przychodziłem nie tylko ja, ale Bogdanowicz, Mogielnicki i inni. Nie pamiętam tak dokładnie jak często tam chodziliśmy, to było 70 lat temu, ale dosyć często. Nie trzeba było mieć specjalnego zaproszenia od Wojtyłów, aby można tam było przyjść w każdej chwili. To był taki dom otwarty. Nie było kobiet, matka umarła, więc ojciec był tą centralną postacią w domu”³.

Ojciec Karola biegle posługiwał się zarówno polskim, jak i niemieckim językiem. Uczył więc syna w domu języka niemieckiego. Razem czytali Biblię i odmawiali różaniec. I tak życie toczyło się dalej choć bez mamy, która była niezastąpiona w gotowaniu, przytulaniu i dbaniu o ciepło domowego ogniska. Musieli radzić sobie sami. Lolek korzystał ze śniadań przygotowywanych przez szkolną woźną. Obaj z ojcem postanowili, że na obiady będą chodzić do jadłodajni „U Banasia”, mieszczącej się przy ulicy Kościelnej 4. Prowadziła ją mama jednego z kolegów Karola, pani Maria Banaś. W niedziele gotowali sami. Boże Narodzenie i Wielkanoc spędzali w Białce u pani Stefanii — przyrodniej siostry pana Wojtyły — która była nauczycielką. Poczciwa kobieta, po śmierci pani Wojtyłowej, często odwiedzała ich w Wadowicach by — jak to mawiała — „obszyć” Karola, a więc: pocerować jego ubrania, zaszyć dziury, przyszyć łaty. Na nowe ubrania dla Lolka nie starczało bowiem pieniędzy. Chłopiec jednak nigdy nie skarżył się, że nie ma ładnych, nowych rzeczy. A w tych, co miał, zawsze wyglądał czysto i schludnie.

Po śmierci mamy chłopiec częściej też bywał w domu swych kuzynów. Pani Pukłowa jak matka otoczyła Karola szczerą miłością. To właśnie ona pomogła zdobyć dla Lolka buty do I Komunii Świętej. Akurat wtedy w Wadowicach brakło białych bucików. Na próżno ojciec i syn odwiedzali sklepy i jarmarki. Kobieta uprosiła wtedy penego Żyda-handlarza i ten w ostatniej chwili przywiózł je z Bielska. Niestety, były tylko dziewczęce, na paseczek, ale chłopiec cieszył się, że w ogóle udało się je zdobyć.

Pani Pukłowa pomogła zdobyć dla Lolka buty do I Komunii Świętej. Akurat wtedy w Wadowicach brakło białych bucików. Na próżno ojciec i syn odwiedzali sklepy i jarmarki. Kobieta uprosiła wtedy pewnego Żyda-handlarza i ten w ostatniej chwili przywiózł je z Bielska. Niestety, były tylko dziewczęce, na paseczek, ale chłopiec cieszył się, że w ogóle udało się je zdobyć.

Lolek bardzo zaprzyjaźnił się ze swym kuzynostwem, a szczególnie z jednym z synów pani Pukłowej, Adasiem. Kiedyś wujek Karola, pan Pukło, podarował chłopcom prezenty: Lolek dostał całą armię żołnierzyków, a Adaś pistolet na korki. Niestety, taki podział upominków nie okazał się najtrafniejszy, ponieważ Karol też chciał strzelać z pistoletu, zawarł więc z kuzynem układ: za jedno wystrzelenie z korkowca „płacił” Adamowi jednym żołnierzykiem. Skutki takiego układu były do przewidzenia — w krótkim czasie Lolek został pozbawiony

całej armii. Wkrótce potem do państwa Pukłów przyszedł pan Wojtyła z nieco zakłopotanym synem, mówiąc: „Adam zabrał Karolowi całe wojsko”. Gdy sytuacja się wyjaśniła, Adam oddał wszystkie żołnierzyki kuzynowi i przeprosił go. To wydarzenie jednak wcale nie zniszczyło przyjaźni obu chłopców.

Po skończeniu z wyróżnieniem czterech klas szkoły podstawowej, Karol rozpoczął naukę w ośmioklasowym Gimnazjum im. Marcina Wadowity, które mieściło się przy ulicy Mickiewicza 16 (dawniej ulicy Wiedeńskiej). Ojciec posłał go do szkoły państwowej, bo jako wojskowy mógł liczyć na 50% zniżki w czesnym.

Po wejściu przez główną bramę gimnazjum można było zobaczyć na ścianie starą (z 1890 r.) maksymę poety rzymskiego Albiusa Tibullusa: *Casta placent superis, pura cum veste venite, et manibus puris sumite fontis aquam.* (To co czyste podoba się Najwyższemu, przychodźcie w szacie czystej i rękoma czystymi czerpcie wodę ze źródła). Każdy uczeń widział ją, wchodząc do szkoły, i zapewne rozumiał, ponieważ łacina i greka były podstawowymi przedmiotami w programie nauczania. Od czasu jak Karol zaczął uczyć się łaciny, zafascynował się tym językiem, osiągając jak najlepsze stopnie z tego przedmiotu, podobnie było też z innymi.

Mimo wielu codziennych zajęć, Karol, podobnie jak w szkole podstawowej, osiągał bardzo dobre wyniki w nauce. Szybko zyskał też sympatię nowych kolegów i koleżanek. Był sumiennym i pilnym uczniem, starał się pomagać w nauce słabszym kolegom i koleżankom. Nieraz ratował honor klasy, gdy nikt nie nauczył się lekcji. Lolek zawsze był przygotowany. Często zapraszał kolegów po lekcjach do swojego mieszkania, gdzie razem odrabiali zadania domowe.

Jeden z gimnazjalnych kolegów Karola, Antoni Bohdanowicz, który przez wiele lat siedział z nim w jednej ławce, tak wspomina te chwile:

„W latach 1932—1938 uczęszczałem do Gimnazjum (...) razem z Karolem Wojtyłą, co więcej, większość tych lat siedziałem z nim w jednej ławie, w konsekwencji odrabiałem razem lekcje w domu Karola (...) otóż Karol miał taki zwyczaj, że po przepracowaniu każdego przedmiotu wychodził do drugiego pokoju i stamtąd wracał po kilku minutach. Kiedyś drzwi były niedomknięte i zauważyłem, że Karol modli się na klęczniku”⁴.

Karol wyrastał na dorodnego młodzieńca. Już wtedy wyróżniał go energiczny i zdecydowany charakter, dzięki któremu zawsze miał swoje zdanie i nie ulegał presji ogółu. Stawał w obronie słabszych i krzywdzonych, lecz nigdy siłą. Jego bronią były mądre, trafiające w serce i sumienia słowa, których korzenie tkwiły w głębokiej wierze. Jak na kilkunastoletniego chłopca miał tęgi umysł; nawet nauka łaciny, która była achillesową piętą większości uczniów, nie sprawiała mu trudności. Karol miał różnorakie zamiłowania, umiał doskonale organizować sobie zarówno pracę, jak i czas wolny. Cechował go pełen pogody hart ducha, dzięki któremu nie ugiął się przed przeciwnościami losu. Wierny przyjaciel Karola, Jerzy Kluger, po 70 latach napisał:

„Myśmy blisko mieszkali, stąd prędzej czy później musieliśmy się zetknąć ze sobą (...). On był jednak na wyższym poziomie od innych rówieśników pod każdym względem. Pamiętam jak tatuś kupił duże radio, a Karol był bardzo zainteresowany klasyczną muzyką, więc przychodził do nas słuchać radia. Oprócz tego tatuś miał kwartet smyczkowy, grał na skrzypcach. Mnie to nie bardzo interesowało, bo jestem niemuzyczny, ale Lolka, bo tak go nazywaliśmy, bardzo. Moja babcia mówiła z ubolewaniem: «Jurek, czemu ty nie możesz być taki jak Lolek...» (...).

W szkole on (Karol) był najlepszy. Siadał tam, gdzie było wyznaczone miejsce. Nie pamiętam dokładnie, która to była ławka, może druga. Siedziałem z nim przez jakiś czas w ławce, ale zwykle miałem inne miejsce po lewej stronie koło okna. Lolek na lekcjach był aktywny. Zwłaszcza na zajęciach klasycznych, jak: kultura klasyczna, greka, łacina, język polski, historia. Nie podpowiadał nikomu, bo uważał, że to jest oszustwo. Czasami, gdy było wyjątkowo trudne zadanie do tłumaczenia z Owidiusza czy Horacego, to dał odpisać. Był bardzo lubiany, szanowany przez uczniów. Pod pewnymi względami był na czele grupy, np. w kółku dramatycznym. Oczywiście, taki uczeń jest zawsze lubiany przez nauczycieli. (...) On nie był kujonem, ale się wybijał spośród tłumu. Umiał porozumiewać się z ludźmi. Przez całe dwanaście lat nie widziałem ani razu, by się z kimś kłócił, gniewał na kogoś lub ktoś na niego. Zawsze zachowywał właściwe relacje z ludźmi. Wszyscy go szanowali. Mnie podobała się jego deklamacja, talent aktorski. Zresztą te ćwiczenia aktorskie, zainteresowanie poezją, doskonała dykcja, wyrazistość mówienia wpłynęły na jego sposób komunikacji z wiernymi, gdy został Papieżem. (...) Pochodził z rodziny krawieckiej. Jego ojciec, zanim wstąpił do wojska, był krawcem. Przerabiał i szył ubrania, dlatego Karol zawsze był ubrany bardzo czystuśko, elegancko. Rzadko jednak mieliśmy okazję chodzić po cywilnemu, bo musieliśmy często nosić mundurek szkolny, a czapka z daszkiem była obowiązkowa. W lecie, gdy któryś z nauczycieli zobaczył nas bez czapki, to interweniował”5.

Wspomina Halina Królikiewicz-Kwiatkowska, koleżanka z Wadowic:

„Jaki był Karol Wojtyła? Na pewno inny od swoich kolegów, odrębny. Ale co to znaczy? Trudno wytłumaczyć te cechy. Wesoły, bardzo koleżeński, pierwszy niosący pociechę w nieszczęściu, w chorobie, uprawiający sporty; zasadniczość była mu zupełnie obca. A przecież czuło się zawsze, że ma w jakiś sposób niedostępny swój świat myśli, że jest głęboko religijny, że umie najwięcej z nas wszystkich, że czyta trudne filozoficzne książki, które nas znudziłyby już po kilku stronach, że uczy się i nie traci na próżno ani chwili. I pisze poematy, wiersze, dramaty filozoficzne dla nas zawile, a kiedy rozmawia, to uważnie słucha swego interlokutora, ale zawsze, nawet i dziś, w jego oczach błyskają iskierki ni to humoru, ni jakiejś ironijki czy też wyrozumiałości dla każdego, bo nigdy nie potępiał, nie pouczał, ale rozumiał. Dziennikarze często zadają pytanie, jakie miał wady. Nie wiem. Nie znam. Do gimnazjum biegł za trzy minuty ósma rano z pobliskiego rynku, obok którego mieszkał, i wpadał w ostatniej chwili do klasy z wielką, rozwichrzoną gęstwą włosów, które nigdy nie chciały go słuchać”6.

Karola pociągała też turystyka górską, która z czasem stała się jego wielką pasją. Chętnie wyruszał na wyprawy na stoki nieodległego Leskowca, Madohory czy Gorzenia, a także wspólnie z kolegami, mimo licznych zajęć, urządzali dalsze górskie wyprawy. Od dzieciństwa miał do czynienia z nartami, więc zimą szusowali po ośnieżonych stokach, aż im wiatr świszczwał w uszach.

Spełniło się też wielkie marzenie Lolka — został ministrantem. Zachęcił go do tego przyjaciel dziecięcych lat Karola — ksiądz Kazimierz Figlewicz, rodowity krakowianin, a ówczesny wikary parafii wadowickiej, który uczył religii w wadowickim gimnazjum. Posługa przy ołtarzu była dla Lolka wielkim zaszczytem. Po latach Jan Paweł II wyznał:

„W wieku 10, 12 lat byłem ministrantem, ale muszę wyznać, że niezbyt gorliwym (...). Mój ojciec spostrzegłszy moje niezdyscyplinowanie, powiedział pewnego dnia: «Nie jesteś dobrym ministrantem. Nie modlisz się dosyć do Ducha Świętego. Powinieneś się modlić do Niego». I pokazał mi jakąś modlitwę. Nie zapomniałem jej. Była to ważna lekcja duchowa, trwalsza i silniejsza niż wszystkie, jakie mogłem wyciągnąć w następstwie lektur czy

nauczania, które odebrałem. Z jakim przekonaniem on do mnie mówił! Jeszcze dziś słyszę jego głos. Rezultatem tej lekcji z dzieciństwa jest moja encyklika o Duchu Świętym”7.

Przyjaźń Karola z księdzem Figlewiczem przetrwała wiele lat. Lekcje w szkole rozpoczynał o godz. 8.00, więc mógł mu codziennie służyć do mszy św. o godz. 7.00 rano. Wstawał chętnie, choć czasem wpadał do zakrystii w ostatniej chwili. Pan kościelny trochę narzekał, że przybiega tak późno, ale zawsze witał Lolka uśmiechem. Karol był jedynym ministrantem, który codziennie uczestniczył we mszy św. i to tak wcześnie. Lolek był dumny, kiedy niósł mszał i prowadził księdza do ołtarza.

Po latach ksiądz Figlewicz tak wspominał Lolka:

„Był to chłopiec, owszem, dość wysoki, ale raczej grubasek. Chłopiec bardzo żywy, bardzo zdolny, bardzo bystry i bardzo dobry. Z usposobienia optymistą, choć przy uważniejszym spojrzeniu dostrzegało się w nim cień wczesnego sieroctwa. Poznałem go w niedługi czas po śmierci matki. Wyróżniał się tym, że był bardzo lojalny w stosunku do kolegów, a z gronem nauczycielskim nie miał konfliktów. Uczył się dobrze. Moje z nim kontakty gimnazjalne trwały zaledwie jeden rok, ale nie zostały zerwane. Zbliżył nas ołtarz. Karol Wojtyła był gorliwym ministrantem. Zbliżył nas, jak mi się wydaje, także konfesjonał. I rozmowy, i wzajemne odwiedziny. W ten sposób poznałem ojca mego ucznia i ministranta, pana porucznika Wojtyłę, zatrudnionego pracą administracyjną w stacjonującym w Wadowicach 12. Pułku Piechoty. Nie widziałem go nigdy w mundurze; poznałem go zresztą, gdy już przeszedł na emeryturę. Był człowiekiem niemłodym. Prowadził sam gospodarstwo domowe i z wielką troskliwością oddawał się wychowaniu syna. Pamiętam, że ojciec i syn stołowali się u sąsiadów. W domu nie przelewało się. Życie wiedli bardzo skromne”8.

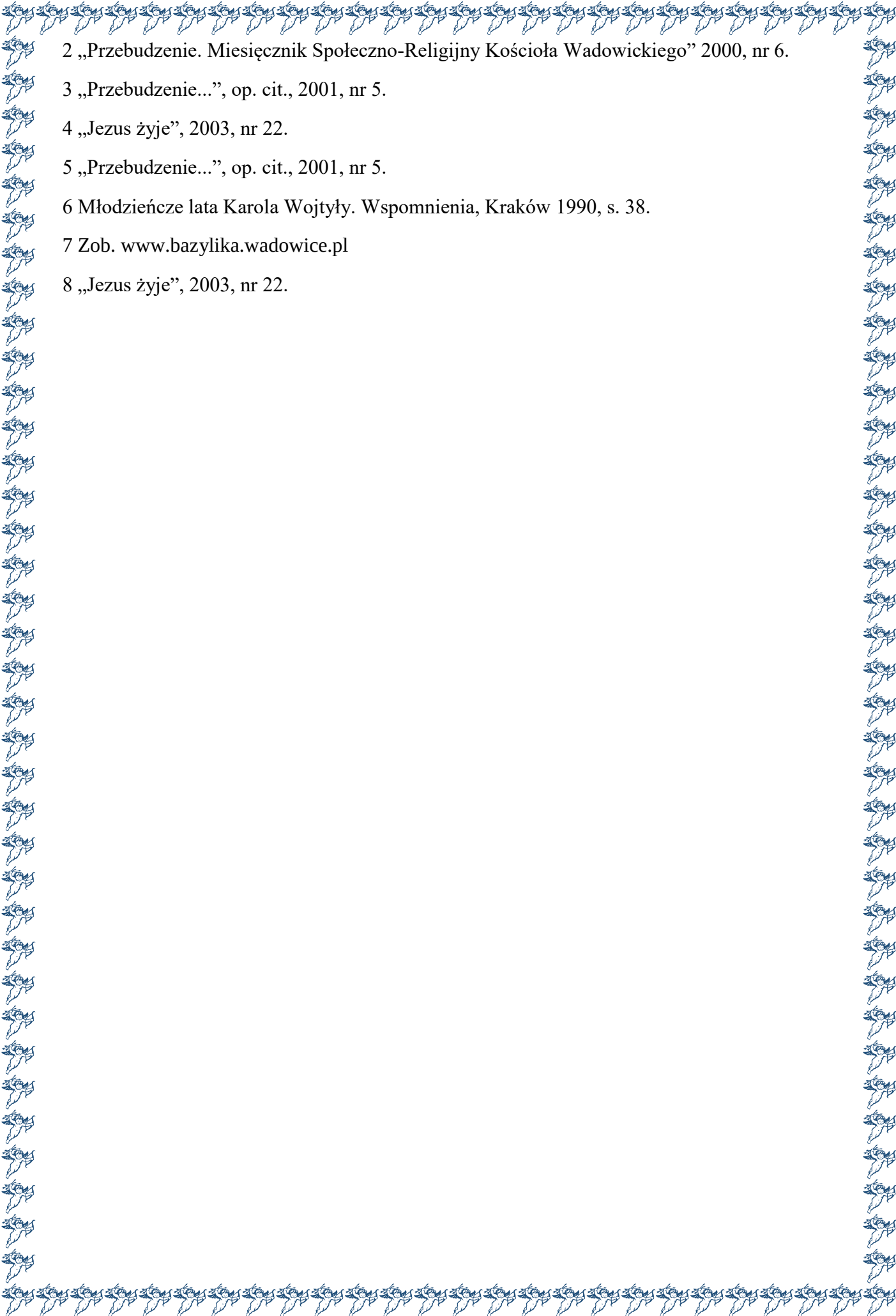
U swego szkolnego katechety Karol także spowiadał się i często prowadził z kapłanem długie rozmowy. Lolek wiedział, że może mu zdradzić największe sekrety swego młodzieńczego serca i że ksiądz zawsze znajdzie dla niego choćby małą chwilkę.

Ksiądz Figlewicz opuścił wadowicką parafię w 1933 roku, obejmując funkcję podkustosza katedry na Wawelu w Krakowie. Ministranci zgotowali mu serdeczne pożegnanie. W wychodzącym wtedy dodatku do krakowskiego tygodnika „Dzwon Niedzielnny”, a więc w „Dzwoneczku” nr 37, ukazał się opis uroczystości pożegnania, którego autorem był prezes kółka ministranckiego — Karol Wojtyła. Był to jego dziennikarski debiut, który brzmiał tak:

„10 sierpnia żegnało nasze Kółko ministranckie swojego Patrona, ks. prof. Kazimierza Figlewicza, odchodzącego na posadę przy kościele katedralnym w Krakowie. Od samego początku istnienia naszej organizacji był jej serdecznym opiekunem. Kochali go ministranci, a wyraz temu dali przy samym pożegnaniu, bo też był dla nich jakby ojcem. Praca jego niech nie w ludzkiej ocenie, ale w Bożej sprawiedliwości znajdzie odpowiednią nagrodę. Nie o tym więc mam pisać, tylko o samym pożegnaniu. W dniu pożegnania zebrali się chłopcy w kościele na mszę św. ks. Patrona. O godz. 8.30 wyszedł z mszą św. ks. Patron. Podczas niej śpiewali ministranci na chórze pieśni pobożne. Po mszy św. poprosili swego Patrona do fotografii. Ubrani w komże i kapturki otoczyli Go kołem, a u stóp Jego złożyli bukiet. Potem dopiero odbył się właściwy akt pożegnalny. Padły pierwsze słowa pożegnalne, do których wypowiedzenia ja zostałem przeznaczony. Potem wystąpił kol. Gąska Stanisław i w serdecznych słowach pożegnał naszego Patrona...”.

Przypisy

1 Jan Paweł II, *Dar i tajemnica*, Kraków 2005, s. 22.



2 „Przebudzenie. Miesięcznik Społeczno-Religijny Kościoła Wadowickiego” 2000, nr 6.

3 „Przebudzenie...”, op. cit., 2001, nr 5.

4 „Jezus żyje”, 2003, nr 22.

5 „Przebudzenie...”, op. cit., 2001, nr 5.

6 Młodzieńcze lata Karola Wojtyły. Wspomnienia, Kraków 1990, s. 38.

7 Zob. www.bazylika.wadowice.pl

8 „Jezus żyje”, 2003, nr 22.